

# Jan Związek

---

## Wspomnienia ks. Aleksandra Romana Konopki z obozu koncentracyjnego w Dachau : cz.1

---

Rocznik Wieluński 9, 163-190

---

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Jan Związek

## WSPOMNIENIA KS. ALEKSANDRA ROMANA KONOPKI Z OBOZU KONCENTRACYJNEGO W DACHAU (CZ.1)

Siedemdziesiąta rocznica wybuchu II wojny światowej ma szczególne znaczenie dla ziemi wieluńskiej oraz dla jej centrum – miasta Wielunia. Pierwsze bomby zrzucone przez Luftwaffe na Polskę spadły na ten średniowieczny gród, dokonując zniszczenia miasta i powodując śmierć wielu jego mieszkańców. Miasto nie było obiektem wojskowym, ale to tutaj hitlerowskie samoloty, rozpoczęły okres zniszczeń, śmierci i terroru okupacyjnego, który miał trwać ponad 5 lat. Symbolem terroru hitlerowskiego stał się zbombardowany szpital powiatowy (mimo że był oznakowany międzynarodowymi symbolami Czerwonego Krzyża) oraz prastara kolegiata wieluńska pw. św. Michała Archanioła<sup>1</sup>. Nawale barbarzyńskiej zza zachodniej granicy Rzeczypospolitej nie zdołały przeciwstawić się bohatersko walczące oddziały Wojska Polskiego, pod dowództwem generała Juliusza Rómmla. Dzieła zniszczenia miasta dopełniły wkraczające oddziały Wehrmachtu, które nie tylko w bestialski sposób spaliły Wieluń, ale także wymordowały wielu jego mieszkańców<sup>2</sup>.

Po zagarnięciu ziem polskich przez wojska hitlerowskie, na mocy dekretu Adolfa Hitlera z dnia 8 X 1939 r., Wieluńskie zostało włączone do prowincji Reichsgau Posen. Nazwa ta została zmieniona 29 I 1940 r. na Kraj Warty (Wartheland). Namiestnikiem został znany z działalności antypolskiej Artur

<sup>1</sup> T. Olejnik, *Szpital w Wieluniu – jego dzieje i zniszczenie 1 IX 1939 r.*, Wieluń 1991; tenże, *Wieluń. Zniszczenie miasta – destruction of the town 1 IX 1939 roku*, Wieluń 1995; tenże, *Wieluń. Dzieje miasta (1793–1945)*, Piotrków Trybunalski 2003.

<sup>2</sup> T. Olejnik, *Zniszczenie miasta Wielunia 1 IX 1939 r. przez hitlerowskie lotnictwo w świetle literatury i źródeł*, [w:] *Wieluń miastem pokoju i pojednania* pod red. B. Abramka i J. Książka, Kielce 2004, s. 45–65; Cz. Grzelak, *Kampania polska 1939 roku w świetle najnowszych badań*, [w:] *Wieluń miastem...*, s. 17–20.

Greiser<sup>3</sup>. Jednocześnie przedwojenny powiat wieluński został powiększony przez skrawki dawnych powiatów piotrkowskiego i radomszczańskiego. Natychmiast też rozpoczął się intensywny proces germanizacyjny. Miejscowa ludność polska była masowo wywożona na przymusowe roboty w głąb Rzeszy – pozostali jedynie starcy i dzieci. Polską ziemię i gospodarstwa rolne przejmowali osadnicy niemieccy, a pozostała ludność polska musiała przymusowo i nieodpłatnie pracować u osadników niemieckich. Celem polityki namiestnika Artura Greisera było uczynienie na tym terenie wzorcowego okręgu niemieckiego, który miał być wzorem dla innych prowincji<sup>4</sup>.

Losy polskiej ludności i polskich instytucji dzielił Kościół katolicki. Ludność mieszkająca na terenie ziemi wieluńskiej była w ogromnej większości wyznania rzymsko-katolickiego. Sieć dekanalna i parafialna istniała na tej ziemi już w czasie wizytacji przeprowadzonej przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana Łaskiego, a niewielkie jedynie korekty zostały wprowadzone w późniejszych wiekach<sup>5</sup>. Od 28 X 1925 r. ziemia wieluńska należała do nowopowstałej diecezji częstochowskiej, a pierwszy biskup częstochowski dr Teodor Kubina tę jej część nazywał Galileą, ze względu na religijność mieszkańców, wierność Kościołowi katolickiemu i żywą wiarę<sup>6</sup>. Ci wierni odznaczeni byli jednocześnie głębokim patriotyzmem. Nic przeto dziwnego, że okupant hitlerowski niszczył wszystko, co przypominało Polskę, eliminował także to, co stanowiło symbole wiary katolickiej. Nawet krzyże i kapliczki przydrożne były systematycznie niszczone, bowiem one świadczyły o wierze katolickiej i polskości miejscowej ludności. Nowe władze nie przewidywały miejsca dla świątyń i dla polskiego duchowieństwa katolickiego, bowiem jego działalność nie mieściła się w granicach ideologii nazistowskiej<sup>7</sup>. Stąd zrodziła się decyzja władz hitlerowskich o aresztowaniu i uwięzieniu wszystkich duchownych narodowości polskiej, a także

<sup>3</sup> Z. Fijałkowski, *Kościół katolicki na ziemiach polskich w latach okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1983, ss. 34–35, 220–224, 249–257.

<sup>4</sup> J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, „Częstochowskie Studia Teologiczne” 1974, t. 2, s. 327–328.

<sup>5</sup> J. Związek, *Parafie archidiaconatu wieluńskiego w świetle wizytacji arcybiskupa Jana Łaskiego*, [w:] *Przyzywanie głębi do kręgu słów, myśli, idei działań*. Księga pamiątkowa ofiarowana Profesorowi Józefowi Żurawowi, pod red. S. Podobińskiego i B. Snocha, Częstochowa 1999–2001, s. 421–433.

<sup>6</sup> J. Związek, *Więź biskupa Teodora Kubiny z Ziemią Wieluńską*, „Częstochowskie Wiadomości Diecezjalne” 1982, R. 56, s. 45–70.

<sup>7</sup> A.Z. Urbański, *Duchowieństwo w Dachau*, Kraków 1945; S. Biskupski, *Księża polscy w niemieckich obozach koncentracyjnych. (Wspomnienia b. więźniów obozów w Sachsenhausen i Dachau)*, Londyn 1946; T. Musioł, *Dachau 1933–1945*, Katowice 1971; K. Śmigiel, *Kościół katolicki w tzw. Kraju Warty 1939–1945*, Lublin 1979; Cz. Tomczyk, *Diecezja częstochowska w latach okupacji hitlerowskiej 1939–1945*, [w:] *Studia z historii Kościoła w Polsce*, pod red. H.E. Wyczawskiego, Warszawa 1978, t. 4, s. 207–515.

przeznaczeniu świątyń i kaplic na inne cele. Akcję aresztowania polskich kapłanów gestapo i urzędnicy niemieccy przeprowadzili bardzo sprawnie we wczesnych godzinach rannych w dniu 6 X 1941 r. Zostali zabrani z placówek duszpasterskich nawet chorzy kapłani i starcy. Z Wielunia zostali przetransportowani do obozu przejściowego w Konstancynie k. Łodzi, a po 3 tygodniach transportem kolejowym zostali przewiezieni do obozu koncentracyjnego w Dachau<sup>8</sup>.

Dzięki życzliwości i zrozumieniu wartości dokumentu, napisanego przez naczelnego świadka, doświadczającego osobiście wszelkich represji obozowych ludności polskiej i duchowieństwa katolickiego ze strony wieloletniego Prezesa Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego i redaktora „Rocznika Wieluńskiego” prof. dra hab. Tadeusza S. Olejnika ukazały się na łamach tego pisma wspomnienia z prowadzonej pracy duszpasterskiej na terenie okupacyjnego powiatu wieluńskiego ks. Józefa Pruchnickiego i ks. Józefa Kubicy<sup>9</sup>. Terror okupacyjny przybierał różne formy, niekiedy bardzo wyrafinowane, a ich ujawnienie i potwierdzenie ma zawsze wielką wartość historyczną. Już opublikowane wspomnienia dotyczą sytuacji życia społecznego i religijnego na terenie okupacyjnego powiatu wieluńskiego. Ale nie mniej ważne są te zapisy, które dotyczą losów kapłanów wieluńskich, przebywających w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Taką wartość posiadają wspomnienia ks. Aleksandra Konopki, aresztowanego 6 X 1941 r. w Sulmierzycach. Opisał on osobiste koleje losów w obozie koncentracyjnym, a także przedstawił warunki życia swoich kolegów z ziemi wieluńskiej. Ogólna sytuacja polskich duchownych w obozie koncentracyjnym w Dachau jest powszechnie znana. Myślę, że duże znaczenie mają wątki osobiste, ukazujące codzienną walkę o przetrwanie i niesienie pomocy potrzebującym.

Niezwykle istotne jest ustalenie, kiedy powstały wspomnienia Aleksandra Konopki. Nie pisał ich w obozie koncentracyjnym, gdyż nie pozwalały na to realia lagru. Dopiero po powrocie do Ojczyzny odtwarzał z pamięci najważniejsze wydarzenia z życia własnego i innych duchownych. Autor nie podał żadnych wiadomości ani o czasie, ani o miejscu powstania pracy. Być może, iż pisał ją na skutek wezwania biskupa Golińskiego, który od początku swej działalności

---

<sup>8</sup> J. Związek, *Martyrologium kapłanów diecezji częstochowskiej w czasie II wojny światowej*. „Częstochowskie Studia Teologiczne” 1976, t. 4, s. 185–300; tenże, *Aresztowanie i męczeństwo kapłanów ziemi wieluńskiej w okresie okupacji hitlerowskiej*. „Rocznik Wieluński” 2002, t. 2, s. 5–36.

<sup>9</sup> Tenże, *Wspomnienia ks. Józefa Pruchnickiego o pracy duszpasterskiej w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej*, „Rocznik Wieluński” 2006, t. 6, s. 113–145; tenże, *Wspomnienia ks. Józefa Kubicy o pracy duszpasterskiej w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej*, „Rocznik Wieluński” 2007, t. 7, s. 127–151.

w diecezji namawiał częstochowskich kapłanów do gromadzenia materiałów dotyczących przeszłości diecezji. Tak uczynili ks. Pruchnicki i ks. Kubica<sup>10</sup>.

Ks. Konopka zostawił swoje relacje w formie gęsto zapisanego maszynopisu, liczącego 32 strony. Posiadany tekst jest zapewne jedną z kilku kopii, na wielu z nich autor dokonał poprawek. Najlepiej przygotowanym i zachowanym jest maszynopis przekazany przez autora do Kurii Diecezjalnej, zapewne bezpośrednio biskupowi Golińskiemu. Kopia została sporządzona najprawdopodobniej na podstawie rękopisu autora. O ile ks. Pruchnicki i ks. Kubica mieli dodatkowe predyspozycje do napisania swoich wspomnień, bowiem posiadali i wykształcenie dodatkowe, i zamiłowanie do pisania dzieł historycznych (zwłaszcza ten drugi), to ks. Konopka miał zwykle wykształcenie teologiczne, którego celem była praca duszpasterska, a nie działalność pisarska. Trudno przeto byłoby w jego wspomnieniach doszukiwać się wartości literackich, bowiem autorowi zależało głównie na tym, aby przekazać prawdę o warunkach życia w obozie koncentracyjnym. Stąd pozostawiony tekst należało dostosować do właściwych form gramatycznych i stylistycznych, chociaż takich poprawek nie jest dużo. Autor często posługiwał się niepełnymi zdaniami. W praktyce oznaczało to, że często opuszczał orzeczenia. Nadto pomiędzy poszczególnymi zdaniami nie zawsze była zachowana spójność relacji tego samego wydarzenia czy faktu. Zresztą należy przypuszczać, że taka metoda relacjonowania wydarzeń nie była celem autora, a może nawet nie znał takiego sposobu opisu. W swojej relacji autor nie unikał opisu sytuacji kontrowersyjnych, trudnych i tragicznych. Takie były warunki życia obozowego, w których każdy człowiek troszczył się przede wszystkim o przetrwanie i ocalenie swojego życia, a w miarę możliwości służył pomocą innym więźniom. W wojennych okolicznościach zaradność życiowa, spryt, a nawet wykorzystanie słabości strażników obozowych pomagały ratować ludzkie życie, które wówczas miało bardzo niską wartość.

Sytuacja społeczno-religijna w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej została omówiona w artykule, poświęconym wspomnieniom ks. Józefa Pruchnickiego, dlatego w niniejszym opracowaniu te problemy zostały tylko wzmiankowane.

Ks. Konopka napisał swoje obszernie wspomnienia jako jednolity tekst, bez podziału na opisywane fakty. Zdecydowałem się jednak dokonać segmentacji w celu uporządkowania tekstu.

W tym miejscu składam wyrazy podziękowania nowemu redaktorowi „Rocznika Wieluńskiego” drowi Zdzisławowi Włodarczykowi za umożliwienie mi publikacji wspomnień obozowych jednego z kapłanów wieluńskich.

---

<sup>10</sup> Z. Goliński, *O formowaniu materiałów do historii diecezji*, „Częstochowskie Wiadomości Diecezjalne” 1959, R. 33, s. 24–25.

## Rys biograficzny ks. Aleksandra Romana Konopki

Aleksander Roman Konopka urodził się 29 II 1912 r. w Kamieńsku w powiecie piotrkowskim<sup>11</sup>. Jego rodzicami byli Aleksander i Marianna z Frymusów. Ojciec był z zawodu ślusarzem, ale w małej miejscowości, jakim był Kamieńsk, nie mógł zapewnić swojej siedmioosobowej rodzinie należytego utrzymania. Dlatego, kiedy po odzyskaniu niepodległości przez Polskę pojawiły się możliwości uzyskania większych zarobków w zakładach przemysłowych w Radomsku<sup>12</sup>, rodzice jego zamieszkali w tym ośrodku rozwijającego się dynamicznie przemysłu. W nowym miejscu zamieszkania uczęszczał do szkoły powszechnej im. Stanisława Jachowicza, którą ukończył w 1928 r. Następnie wstąpił do Gimnazjum Humanistycznego Stanisława Niemca. Należał w tym czasie do Sodalicji Mariańskiej. To gimnazjum zapewniało uczniom nie tylko wysoki poziom naukowy, ale także głębokie wychowanie patriotyczne. Zarówno bowiem właściciel szkoły, jak i wielu nauczycieli należeli wcześniej do legionów Piłsudskiego, którego jednostki wojskowe stacjonowały w Radomsku oraz w pobliskich Gomunicach<sup>13</sup>. W gimnazjach radomszczańskich tak humanistycznym Stanisława Niemca, jak i matematyczno-przyrodniczym Feliksa Fabianiego, nauczano religii. Prefekt etatowy, ks. Marian Sawicki w swojej opinii podkreślał, że jego zachowanie i postawa w okresie pobytu w gimnazjum były wzorowe. Ówczesny proboszcz parafii św. Lamberta w Radomsku, ks. Marian Jankowski pisał, iż brał udział w praktykach religijnych i zachowywał się wzorowo. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości w 1932 r. Aleksander Konopka zdecydował się wstąpić do Częstochowskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. W tych latach w diecezji częstochowskiej zarówno prefekci szkolni, jak i ogół duchowieństwa, a zwłaszcza bp T. Kubina, szczególnie dbali o nowe powołania do stanu kapłańskiego. W 1930 r. został wybudowany i poświęcony gmach Seminarium Duchownego w Krakowie. Klerycy częstochowscy studiowali na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie mogli uzyskiwać także akademickie stopnie naukowe. Przede wszystkim jednak T. Kubina podkreślał znaczenie pracy kapłańskiej w dziele zbawienia oraz służby dla Ojczyzny. Zwracał uwagę na znaczenie wykształcenia uniwersyteckiego uzyskanego w Krakowie, bowiem „ten prastary gród ze swoim królewskim zamkiem, ze swoimi kościołami, pochodzącymi ze wszystkich epok od samego początku życia katolickiego

<sup>11</sup> Akta personalne ks. Aleksandra Romana Konopki, Archiwum Archidiecezjalne w Częstochowie; M. Duda, *Ks. Aleksander Roman Konopka (1912–1994)*, WAC 1994, R. 68, z. 3, s. 32–34; Z. Grządzielski, *Leksykon miasta i gminy Kamieńsk*, Radomsko 2007.

<sup>12</sup> R. Nazarewicz, *Ziemia radomszczańska w walce 1939–1945*, Warszawa 1973, s. 14–16.

<sup>13</sup> J. Związek, *Z dziejów legionistów Piłsudskiego w ziemi radomszczańskiej*, WAC 2004, R. 78, nr 3–4 s. 79–87.



w Polsce, ze swoimi grobami wielkich świętych i wielkich królów, wielkich bohaterów i wielkich wieszczów, wznosi się ponad niwę życia polskiego jakby wysoki szczyt naszej kultury katolickiej polskiej”<sup>14</sup>. Nadto biskup zapewniał, że przeszkodą do stanu kapłańskiego nie może być ubóstwo rodziców kandydatów, bowiem takim klerykom przydzielał odpowiednie stypendium. Po wstąpieniu do Seminarium Duchownego A. Konopka studiował na Wydziale Teologicznym UJ 5 lat. Studia ukończył w 1937 r., ale nie uzyskał stopnia naukowego magistra teologii. Świecenia kapłańskie przyjął w dniu 6 V 1937 r. na Jasnej Górze z rąk biskupa T. Kubiny.

Do pracy duszpasterskiej jako wikariusz został skierowany przez władzę diecezjalną do parafii Wiewiec w dekanacie brzeźnickim, a w następnym roku do parafii Sulmierzyce, w tymże dekanacie. Był jednocześnie prefektem kontraktowym w miejscowych szkołach powszechnych. W Sulmierzycach zastał go wybuch II wojny światowej. Tak w okresie rządów wojskowych, jak i cywilnej administracji hitlerowskiej, istniały duże ograniczenia w pracy duszpasterskiej, a nauczanie religii w szkołach było niemożliwe, bowiem w Kraju Warty polskie szkoły powszechne zostały zamknięte<sup>15</sup>. Władze okupacyjne, zgodnie z ideologią namiestnika Artura Greisera dążyły systematycznie do likwidacji Kościoła katolickiego i instytucji kościelnych na tym terenie<sup>16</sup>. Spodziewano się, że wkrótce nastąpi zdecydowana akcja przeciwko polskim duchownym. Miała ona miejsce we wczesnych godzinach rannych w dniu 6 X 1941 r. Grupy funkcjonariuszy gestapo i urzędników w liczbie 2–4 osoby przemocą zabierały na samochody lub furmanki duchownych ze wszystkich parafii w powiecie wieluńskim. Wraz z proboszczem ks. Zenonem Cwilongiem, furmanką zostali wywiezieni do Pajęczna, a stąd z innymi duchownymi samochodem do Wielunia, gdzie już przebywali inni kapłani z powiatu wieluńskiego. Z posterunku gestapo w Wieluniu autobusem zostali przewiezieni do Konstancyna, skąd po 3 tygodniach transportem kolejowym wywieziono ich do obozu koncentracyjnego w Dachau. Przybyli tam 30 października t. r.<sup>17</sup>

<sup>14</sup> T. Kubina, *Tabernakulum in Monte Tabor. Przemówienie z okazji poświęcenia gmachu Częstochowskiego Seminarium Duchownego w Krakowie*, [w:] *W podniosłych chwilach i doniosłych sprawach*, wyd. W. Koźlicki, Częstochowa 1931, t. 1, s. 167–172; J. Związek, *Seminarium Duchowne Diecezji Częstochowskiej w Krakowie w wypowiedziach biskupa Teodora Kubiny*, „Częstochowskie Studia Teologiczne” 1975, t. 3, s. 9–38.

<sup>15</sup> T. Kubina, *Wytyczne dla nauki religii, jak i w ogóle pracy duszpasterskiej nad młodzieżą w diecezji częstochowskiej* (z dnia 7 IV 1940 r.). Okólniki Kurii Biskupiej 1926–1944, Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej.

<sup>16</sup> J. Szyling, *Polityka okupanta hitlerowskiego wobec Kościoła katolickiego 1939–1945*, Poznań 1970, s. 29–31.

<sup>17</sup> J. Związek, *Martyrologium kapłanów diecezji częstochowskiej w czasie II wojny światowej*, „Częstochowskie Studia Teologiczne” 1976, t. 4, s. 212–215.

Po wyzwoleniu ze względu na osłabienie organizmu i brak środków materialnych Konopka zdecydował się pozostać w środowiskach polonijnych w Westfalii. Przebywali tam emigranci z czasów przedwojennych, pracujący w przemyśle górniczym<sup>18</sup>, a także Polacy wywiezieni przez Niemców na roboty przymusowe, którzy nie zdecydowali się powrócić do ojczyzny. W miarę możliwości prowadził pracę duszpasterską wśród Polonii w Niemczech (Dortmund) w okresie od 1 lipca 1945 r. do 15 maja 1946 r. Do Polski powrócił w maju 1946 r. Władza diecezji częstochowskiej powierzyła mu stanowisko wikariusza w parafii Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu od dnia 6 czerwca<sup>19</sup>. Pełnił takie same obowiązki parafialne, jakie spełniali wikariusze w okresie II Rzeczypospolitej. Pojawiły się jednak nieznanne wcześniej na tym terenie trudności w działalności kościelnej. Władze państwowe jednoznacznie eliminowały działania religijne z życia publicznego. W dniu 25 XI 1948 r. ks. Konopka został mianowany administratorem parafii Niemce (Ostrowy Górnicze, Kazimierz Górniczy)<sup>20</sup>. Najtrudniejsze warunki w działalności kościelnej wystąpiły po ukazaniu się 9 II 1953 r. „Dekretu o obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych”, który wszelkie działania kościelne uzależniał od aprobaty władzy komunistycznej, a przed przyjęciem stanowiska kościelnego każdy duchowny musiał składać przyrzeczenie wierności dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Władze administracyjne w Stalinogrodzie (Katowicach) odznaczały się wyjątkową nienawiścią wobec duchowieństwa katolickiego i jego działalności<sup>21</sup>. Ze względu na fakt, iż ks. Konopka nie akceptował wszystkich decyzji państwowych, dopiero w dniu 12 III 1956 r., został mianowany proboszczem tej parafii. W tym czasie, podobnie jak w latach następnych brał udział w zjazdach byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Dachau, w tym w wyjazdach do Rzymu, Lourdes i Austrii, a przede wszystkim do sanktuarium św. Józefa w Kaliszu. Istniejące warunki zniechęciły go do kontynuowania pracy duszpasterskiej w dotychczasowej parafii i dlatego w następnym roku, po przemianach październikowych, zgłosił do władzy diecezjalnej chęć pracy duszpasterskiej w innej parafii. Po uzgodnieniu stanowisk z Prezydium WRN – Wydział do Spraw Wyznań w Katowicach w świetle „Dekretu o organizowaniu i obsadzaniu stanowisk kościelnych” z dnia 31 XII 1956 r. biskup Goliński

<sup>18</sup> S. Wachowiak, *Wychodźstwo polskie westfalsko-nadreńskie*, [w:] *Zjednoczenie Zawodowe Polskie. Czwierć wieku pracy dla Narodu i Robotnika*, Poznań 1927, s. 7–33.

<sup>19</sup> Parafia Wniebowzięcia NMP w Sosnowcu należała do dekanatu będzińskiego, liczyła 17 400 wiernych, pracowało w niej 6 kapłanów. Proboszczem był ks. Teofil Jankowski.

<sup>20</sup> Niemce – ekspozytura z prawami parafii, liczyła 4580 wiernych.

<sup>21</sup> H. Misztal, *Polskie prawo wyznaniowe. Zagadnienia wstępne. Rys historyczny*, Lublin 1997, t. 1, s. 233–266; T. Pieronek, *Non possumus. Linia obrony biskupów polskich przed skutkami dekretu „O obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych” z 9 II 1953 roku*, [w:] *Do przesładowania nie daliśmy powodu* pod red. R. Terleckiego, Kraków 2003, s. 47–58.



mianował go w dniu 1 III 1957 r. proboszczem nowopowstałej parafii św. Józefa w Sosnowcu. Po 10 latach trudnej pracy duszpasterskiej w Sosnowcu zwrócił się z prośbą do biskupa o przeniesienie do parafii w innym regionie diecezji. W tej sytuacji biskup Stefan Bareła mianował go 12 VIII 1967 r. wikariuszem – ekonomem parafii kłobuckiej, gdyż władze wojewódzkie zbyt długo nie określiły swego stanowiska w tej sprawie. Kiedy wszakże w piśmie z dnia 26 X 1967 r. nie zgłosiły zastrzeżeń, bp S. Bareła dekretem z dnia 7 XI 1967 r. mianował go proboszczem parafii kłobuckiej. Od dnia 25 I 1968 r. pełnił obowiązki dziekana w dekanacie kłobuckim. Dziekanem został mianowany 1 IX 1970 r., a w dniu 17 III 1975 r. nominacja ta została przedłużona na następne 5 lat. W uznaniu jego postawy kapłańskiej bp Bareła odznaczył go 23 X 1969 r. przywilejem rakiety i mantoletu oraz używania tytułu kanonika. Wielkim jego dziełem było zorganizowanie punktów katechetycznych w rozległej parafii. W świątyni została przeprowadzona radiofonizacja, odnowiono polichromie, został położony nowy miedziany dach, przeprowadzono remont wieży. Ponadto wyremontowano wikariat i organistówkę oraz powiększono cmentarz grzebalny. Na terenie rozległej parafii kłobuckiej mimo wielkich trudności utworzono nowe placówki duszpasterskie w Libidzy, Łobodnie i Waleńcowie. Jednakże praca duszpasterska w istniejących warunkach była trudna, tym bardziej że stan zdrowia księdza ulegał stałemu pogorszeniu. W tej sytuacji postanowił zrezygnować z pracy parafialnej i przejść na emeryturę. Otrzymał w tym czasie wysoką emeryturę z racji pobytu w obozie koncentracyjnym. Z pracy duszpasterskiej został zwolniony i przeniesiony na emeryturę w dniu 30 VI 1988 r. Zamieszkał we własnym mieszkaniu na terenie parafii pw. bł. Królowej Jadwigi Wawelskiej w Radomsku. Zmarł 7 I 1994 r. Został pochowany na nowym cmentarzu grzebalnym w Radomsku<sup>22</sup>.

Ks. Aleksander Roman Konopka

*Przeżycia i wrażenia z pobytu w Dachau 30 X 1941–29 IV 1945*<sup>23</sup>

Aresztowanie i transport kolejowy do obozu koncentracyjnego

Był dzień szóstego października 1941 r. w Sulmierzycach. Nie zasnęliśmy tej nocy po odwiedzinach przez esesmanów, a o godz. 6.00 rano znowu dzwonek do drzwi. Stoi żandarm i miejscowy volksdeutsch i nakazują ubierać się, bo pojedziemy.

<sup>22</sup> Akta personalne ks. Aleksandra Romana Konopki. AACz (brak sygnatury).

<sup>23</sup> W innej kopii, nieco krótszej, podał tytuł „Moje wspomnienia z Dachau”.

Włożyłem ubranie. Wziąłem ręcznik, szczoteczkę do zębów, mydło, trochę bielizny włożyłem do teczki, a na siebie płaszcz<sup>24</sup>. Czułem niebezpieczeństwo. Pożegnałem się z ojcem, siostrą i bratem, którzy u mnie byli, otarłem łzy i wyszedłem. Przed plebanią czekała furmanka, a na niej zrezygnowany ksiądz proboszcz. Usiadłem obok, a żandarm obok furmana. Ruszyliśmy. Zaczęło się rozwidniać. Ale ludzi na drogach nie było widać. Przyjechaliśmy do Pajęczna, spotkaliśmy księży z okolicy z księdzem dziekanem Aureliuszem Chwiłowiczem<sup>25</sup>. Wszyscy byli zdenerwowani. Niektórzy twierdzili, że wywożą nas do Guberni [Generalnego Gubernatorstwa – J.Z.]. Niemcy bowiem chcieli pozbyć się polskich duchownych z tego terenu.

W Pajęcznie wsadzono nas do autobusu i przywieziono do Wielunia i tu spotkaliśmy księży z całego powiatu wieluńskiego. Spisywano personalia. Z ks. Cwilongiem nie mogli się dogadać. Ja chociaż słabo mówiłem po niemiecku, jakoś wytłumaczyłem, że ks. Cwilong jest chory, co było widoczne. Został wysłany do Częstochowy. Nas wysłano do Konstątnowa koło Łodzi, gdzie zgromadzono księży z diecezji łódzkiej. Razem było nas kilkudziesięciu<sup>26</sup>. Umieszczono nas na piętrze w budynku dość obszernym, rzucono trochę słomy, dano koc i to miało być łóżko. O spaniu w takich warunkach trudno było mówić. Znowu fotografowanie, spisywanie personaliów i po kilku dniach samochodem przywieziono na bocznice kolejową. W Konstątnowie uciekło zdaje się dwóch księży z Łodzi. Mówiono nam, że jedziemy do Generalnego Gubernatorstwa. Kolejarze smarujący pociąg jednakże twierdzili, że gdzieś daleko nas powiozą, bo Niemcy kazali dokładnie smarować osie pociągu. My mieliśmy jednak nadzieję. O Dachau słyszeliśmy dużo, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mogliśmy się tam znaleźć.

Wagony były starego typu, w każdym przedziale przebywało po sześciu więźniów, było dość wygodnie. W nocy kilku księży wyskoczyło z jadącego pociągu, kiedy przejeżdżaliśmy przez las. Udało się im. Jeszcze było ciemno, kiedy przyjechaliśmy do Poznania, gdzie dołączono dużą grupę księży z diecezji poznańskiej i włocławskiej. Jechało nas odtąd kilkuset. Jak żywiono? Jeszcze nie byliśmy wygłodzeni, więc chleb i coś do picia musiało wystarczyć. Na dworcach w Niemczech, przez które przejeżdżaliśmy, staliśmy w oknach w sutanach, obserwowaliśmy ludzi patrzących na nas ze współczuciem. Ale można było zauważyć i takich, którzy patrzyli na nas z nienawiścią. Uczono ich, że są

<sup>24</sup> Gestapo i urzędnicy w powiecie wieluńskim nie pozwalali aresztowanym kapłanom ani ubierać, ani zabierać sutanny.

<sup>25</sup> Ks. Aureliusz Chwiłowicz, ur. 13 IX 1874 r. w Słupcy. Wyświęcony w 1898 r. Od 1923 r. proboszcz w Pajęcznie, w 1934 r. został dziekanem dekanatu brzeźnickiego. Zamordowany jako inwalida 4 V 1942 r.

<sup>26</sup> Z powiatu wieluńskiego zostało wysłanych do Dachau 55 duchownych katolickich.

to zbrodniarze. Wreszcie w blasku dnia, był to 30 października (można było zagubić się w liczeniu dni), pociąg zatrzymał się. Przez okna było widać dworzec. Jesteśmy u kresu podróży – DACHAU.

Pragnę przekazać moje własne przeżycia, to co widziałem, co może i słyszałem, i w czym uczestniczyłem, Ale są to tylko moje osobiste przeżycia.

### Z dworca kolejowego do obozu koncentracyjnego

Esesmani otwierają drzwi wagonów i z krzykiem wołają – raus, raus, schneller, schneller. Starszym trudno było skakać ze stopni wagonu, wiszących dość wysoko nad ziemią. Niektórzy spadali raniąc się. Pomagać potrzebującym było trudno, każdy musiał uważać na siebie. W miarę możliwości młodszy podawali rękę i plecy, aby starsi wsparli się mogli zejść. Wyładowanie i ustawianie w szeregi trwało przeszło godzinę. Wreszcie: naprzód marsz. A był to marsz: większość w sutannach to ci, którym pozwolono w domu włożyć sutanny (z Poznania i Włocławka), młodszy, starszy, kulejący i ślaniający się, wyglądało to na znęcanie się nad ludźmi. Wielu zostawiało walizki, gdyż nie mieli sił do dźwigania. Za nami jechał samochód ciężarowy z obozu i zbierał, co leżało na drodze. Ja miałem tylko teczkę, więc i kłopotów miałem mniej. Zebrane walizki zrzucono przed łaźnią w obozie, można było poszukać swojej. Mieliśmy nadzieję, że kiedyś przyda się ich zawartość. Podczas tej drogi krzyżowej z dworca do obozu, na ulicy spotykaliśmy ludzi ze współczuciem patrzących na nas. Ale byli i tacy z nienawiścią w oczach. Wiedzieliśmy, że w Bawarii mieszkają katolicy, a sutanna świadczyła, że to księża Kościoła katolickiego, ale pomoc nam nie mogli. Z dworca do obozu było 3 km drogi. Podróż trwała ok. 2 godzin. Do obozu dotarliśmy chyba na godzinę dziesiątą. Z głównej drogi, którą szliśmy, weszliśmy w bramę, a za nią po pięćdziesięciu metrach w drugą właściwą bramę. Na grubych prętach stalowych dużymi stalowymi także literami napis: „Arbeit macht frei”. Zmęczeni mogliśmy wreszcie usiąść na naszych teczkach. Był to czas na zastanowienie się i refleksje. Przed nami duży budynek w kształcie podkowy, mieszczący kuchnie i chyba różne magazyny gospodarcze. Ustawiono nas na placu skąd zobaczyłem na baraku kuchennym biały napis, rzucający się w oczy „ Es gibt einen Weg zur Freiheit. Seine Meilensteine heissen: Gehorsam, Ordnung, Ehrlichkeit, Nüchternheit, Fleiss, Sauberkeit, Opfermut, Wahrhaftigkeit, Liebe zum Vaterland”. Co oznaczało: „Istnieje jedna droga do wolności. Jej kamienie milowe to: posłuszeństwo, porządek, uczciwość, trzeźwość, pilność, czystość, ofiarność, prawdomówność, miłość ojczyzny”. Zdawało się pozornie, że jest jednak możliwość przeżycia i wyjścia. Rzeczywistość wykazała, że jest możliwość wyjścia z obozu, ale „durch Kamin” – przez komin.

Staliśmy na dużym placu apelowym, tak nazywał się olbrzymi plac, gdzie byliśmy zgromadzeni. Długi szereg baraków, środkiem szeroka droga, po bokach wysokie topole. Na blokach numery, po jednej stronie parzyste, a naprzeciw nieparzyste. Słońce dopieka, jesteśmy coraz bardziej zmęczeni. Załatwiano formalności meldunkowe w obozie, miejscu zamieszkania. Po kilku wchodziliśmy do baraku, gdzie zdawaliśmy pieniądze, o ile ktoś miał, następnie ubrania, płaszcze, buty i w ogóle wszystko, co człowiek posiadał przy sobie, szczególnie książeczkę do nabożeństwa, różaniec, medalik i brewiarz. Wszystko wkładano do worka z napisanym nazwiskiem i numerem. Mój numer 28 384 był odtąd moim nazwiskiem. Przy zdawaniu miałem zabawne zdarzenie. Więzień Niemiec, który odbierał rzeczy, zwraca się do mnie i mówi, po co tu przyjechałeś. Ja łamaną niemczyzną odpowiedziałem, jesteś głupi, tu mnie przywieźli twoi ziomkowie. A on na to, a wiesz co tu jest. Oczywiście, przecież widzę. A wiesz jak długo tu wytrzymasz. Nie wiem. To ja ci powiem, najdłużej miesiąc. Mimo tak smutnej perspektywy, spokojnie odpowiedziałem – zobaczymy. Musiałem wyglądać marnie, skoro więzień, który wiedział, co znaczy obóz w Dachau, widząc mnie pierwszy raz, mógł określić w ten sposób niedaleką moją przyszłość. Przetrwalem z Bożą pomocą trzy lata i siedem miesięcy. Ten prorok zagubił mi się i nie wiem, czy doczekał wyzwolenia.

Po zdaniu rzeczy odbywało się strzyżenie „na pałę” i kąpiel pod prysznicem, po czym dano każdemu zniszczoną bieliznę w pasiaki, stare zniszczone ubranie, czasem zupełnie nie pasujące, za małe lub za obszerne, należało je zamieniać z kolegami. Jakoś i te trudności trzeba było pokonać, a to był dopiero początek naszej gehenny. Można sobie wyobrazić myśli, jakie musiały się budzić, kiedy spojrzano się na swego sąsiada. Kapłan, sługa Chrystusa, głoszący naukę Bożą o miłości, dobroci, sprawiedliwości i wzajemnym szacunku został odarty ze wszystkiego i sponiewierany. Tej ofiary widocznie domagał się Pan Bóg, taka była Jego wola. Należało pogodzić się z wolą Bożą i prosić tylko o pomoc i siły do dźwigania ciężkiego krzyża. Po załatwieniu formalności ustawiono nas i grupami odprowadzono na blok. Przydzielono mnie na blok 28, na pierwszą izbę.

W miejscu stałego zamieszkania

Blok – składał się z czterech izb, właściwie każda część z dwóch izb. Pierwsza jadalnia, gdzie były stoły, stołki, pośrodku wysoki piec do ogrzewania, palono zimą brykietami, przywożonymi taczkami z magazynu, pod ścianą były rozstawione szafki. W szafkach składaliśmy menażkę, talerz, kubek, łyżkę, nóż, wszystko z aluminium. Było też miejsce na przechowywanie chleba. Na dole można było położyć bieliznę. Szafki były wysokie na dwa metry. Druga izba – to sypialnia. Łóżka były dwupiętrowe. Początkowo spaliśmy na dwóch łóż-

kach po trzech. Między łózkami bardzo wąskie przejście, trochę szersze między jedną a drugą częścią. Okna otwarte w dzień i w nocy. W tej chwili można było otrzymać łóżko, każdy miał swoje łóżko i odpowiadał za nie. Troska o łóżko to ważna sprawa, jak tłumaczył sztabowy, musiało być równo usłane, kanty na brzegu, służyły do tego bigle (wieszaki), drążki, sienniki wypchane słomą, prześcieradło, poduszczerka wypchana słomą i koc. Blokowy Becher, także więzień, przywitał nas podniesionym głosem i wyłuszczył jak należy się zachować, jak korzystać z „dobrodziejstw obozowych”, jak troszczyć się o porządek, o ile nie chcemy w krótkim czasie wyjść przez komin. Zapowiedział częste kontrole. Do pomocy miał w każdej izbie izbowego, też więźnia. W pierwszej izbie sztabowym był Kint, pochodził ze Szczecina, dobry człowiek, nie dokuczał, raczej ostrzegał i pomagał, o ile to było konieczne i możliwe.

Przy stołach spożywaliśmy posiłki. Do siedzenia służyły stołki lub ławy. W szafkach musiał być porządek. Dlatego otrzymywaliśmy kawałek ściernego papieru do czyszczenia, którym należało doprowadzić do porządku zabrudzone miejsca. Porządek w szafce robiliśmy dość często i myliśmy ją przy pomocy papieru ściernego, dlatego ścianki robiły się coraz cieńsze. Naczynia w szafce powinny być idealnie czyste. Należało bardzo uważać, gdyż do rozgrzanego aluminium przysychało wszystko, na misce kropla kawy tworzyła czarną plamę. W piecu było pomieszczenie, gdzie można było wstawić menażkę i zagrzać zupełnie coś do jedzenia, o ile człowiek coś posiadał, co należało podgrzać. W czasie głodu nie było takiej potrzeby.

Sypialnia. Troska o łóżko to bardzo ważna sprawa, jak tłumaczył sztabowy, musiało być równo usłane, kanty idealnie równe, służyły do tego drewniane tzw. bigle, wewnątrz prawie starta słoma, sienniki należało przykryć prześcieradłem, poduszczerka także wypchana słomą i koc. Sztabowy sam sprawdzał łóżka, poprawiał, czasem można było dostać szturchańca, ale to można było wytrzymać. Gorzej było, kiedy coś nie podobało się esesmanowi, odwiedzającemu izbę, on też przeglądał łóżka. Brak kantów czy nieporządek były przyczyną bicia i znęcania się. Było to w sierpniu 1942 r. Ja byłem w komandzie w pracy. Kilku księży nie poszło do pracy, między nimi ks. Jasio Brzeziecki, młodszy kolega. Na izbę w godzinach przedpołudniowych wszedł esesman. Obecni wstali, taki był nakaz i stali na baczność. Esesman poszedł do łóżek i przeglądał je. Nagle ryknął i zawołał – czyje to łóżko. Podszedł Jasio, wszedł między łóżka, przejście było bardzo wąskie i poprawiał bigłem złamany kant. Wówczas wysoki, potężny hitlerowiec przewrócił go, a on nie mógł się wycofać i wówczas zaczął go deptać. Połamał mu żebra i zgniótł klatkę piersiową. Zabrano go na rewir, gdzie nie odzyskawszy przytomności, zmarł. Gdy wróciłem z pracy koledzy opowiedzieli mi o całym zdarzeniu. Lepiej było mieć łóżko na piętrze, tam nieczęsto zagłada-

li. Do tego piekła obozowego, głodu, uciążliwej pracy, troska o porządek, który normalnie potrzebny, w naszej sytuacji był przerażającym dodatkiem. Stale nam przypomniano „Ordnung muss sein”, ale jakimi metodami. W tych dwóch izbach mieściło się ok. 200 ludzi, stale trzeba było wietrzyć. Blokowy i sztabowy mieli łóżka w pierwszej izbie. Pomiędzy izbami był przedsionek, wykładany płytkami oraz wejście do umywalni i ubikacji. Dwa te pomieszczenia wymagały szczególnej troski. Takich podwójnych izb na bloku było cztery. Pomiędzy blokami była droga „Blockstrasse”, na której odbywały się apele, albo miejsce gdzie ustawiano więźniów na mrozie lub deszczu, kiedy blokowy lub esesman tak nakazali. Bloki stały przy Lagerstrasse – drodze obozowej. Była to szeroka i utwardzona droga, prowadząca na plac apelowy. Po drugiej stronie była także droga utwardzona. Obok bloków były kwietniki lub trawnik. Wszystkie sprawiały dobre wrażenie. Hitlerowcy robili wszystko, aby zwiedzający, ważne delegacje, odnosili wrażenie, że nie jest tak źle, jak to głoszone.

### Obóz koncentracyjny

Blisko cztery lata pobytu utrwaliły w oczach i w pamięci jego kształt i szczegóły. Teren obozu posiadał kształt prostokąta, długa ściana od wschodu oraz poprzeczne ściany, krótkie, otoczone murem z płyt betonowych. Przy ścianach na słupach betonowych był umieszczony gruby drut, podłączony do prądu. Na przeciwnej ścianie, dłuższej, nie było muru, tylko betonowe słupy, a na nich drut pod napięciem. Z jednej jak i z drugiej strony był głęboki, wybetonowany rów. Od rowu został przeciągnięty drut kolczasty, rozłożony na ziemi na słupach drewnianych. Na tym terenie były bloki od zachodniej strony, posiadające parzyste numery od 2 do 30, w których początkowo mieszkali Niemcy – kapo i różni prominenci, a dalej więźniowie różnych narodowości. Księża niemieccy mieszkali w bloku 26, a księża polscy w blokach 28 i 30. Na początku były bloki A i B, w których mieściły się urzędy. Po stronie wschodniej były bloki o numerach nieparzystych od 1 do 29, gdzie mieścił się szpital obozowy (rewir) oraz bloki, w których umieszczano przywożonych więźniów. Przed blokami A i B była kostnica. Za murami i ogrodzeniem były wieże strażnicze, a w nich dzień i noc kilku uzbrojonych żołnierzy. Do obozu wchodziło się przez bramę. Nad bramą były pomieszczenia dla komendanta, tzw. Jourhaus, a przy placu po prawej stronie budynki, gdzie mieściła się kuchnia i budynki gospodarcze.

### Komanda – grupy pracujących

Po przybyciu na blok mogliśmy zjeść wodnistą zupę. Nie bardzo nam smakowała, bo jeszcze nie byliśmy wygłodzeni. Po spożyciu myliśmy naczynia i trzeba było przygotować się do apelu. Ustawiano nas przed blokiem po dwudziestu



i następował wymarsz na plac apelowy. Podczas marszu szeregi musiały być bardzo wyrównane. Młodzi jakoś dawali sobie radę, starszym trudno było równo maszerować. Od początku uczono nas śpiewać w czasie marszu piosenek niemieckich, np. „Lore, Lore, Lore”. Budzono cały obóz dwie godziny przed wymarszem na apel, który latem odbywał się o godzinie 5-ej, a zimą o godzinie 7-ej. Wolny czas przed wyruszeniem na apel był przeznaczony na ścielenie łóżka, na mycie, przyniesienie kawy i śniadanie. Resztę czasu trzeba było spędzić pod gołym niebem bez względu na pogodę, a w tym czasie porządkowano izby. Mijały dni i coraz dotkliwiej odczuwaliśmy piekło obozu. Zapoznawano nas z duchem obozowym, jego rygorami i obowiązkami. Wszystkich uwag i zarządzeń należało przestrzegać bardzo dokładnie. Czuwali skrupulatnie nad tym esesmani, blokowi, sztabowi i kapo.

Pod koniec 1941 r. zaczęto wyznaczać nas do pracy w komandach. Koledzy starsi stażem w obozie opowiadali, że 17 września 1941 r. o godz. 17. 30 komendant obozu SS – Obersturmführer Ziel wydał polecenie, aby wszyscy księża polscy zgromadzili się przed blokiem 28. Do zgromadzonych przemówił oświadczając, że odtąd tylko księża niemieccy i księża z innych krajów, należący do mniejszości niemieckiej, cieszyć się będą przywilejami w obozie. Duchowni pochodzenia polskiego muszą podporządkować się we wszystkim surowemu regulaminowi obozowemu. Dlatego została zamknięta dla polskich księży kaplica, a wszystkie praktyki religijne zostały zakazane. Natomiast pozostały dla nich wszystkie obowiązki, zwłaszcza praca we wszystkich komandach roboczych, a jednocześnie mieli zapomnieć o własnej godności ludzkiej. Zakończył wezwaniem, aby każdy z obecnych polskich księży, czując się w duszy Niemcem, wystąpił z szeregu. Nastąpiła cisza. Oczy Ziela świeciły nienawiścią. Widać było zaskoczenie. Powtórzył propozycję po raz drugi. Znowu cisza. Trzeci raz już nie powtórzył tej propozycji. Odchodząc zapowiedział: „ich werde euch zeigen verrecte polnische Pfaffen – ja wam pokażę, wy przekłete polskie klechy”. No i starał się pokazać. Dla nas wybierano specjalne komanda. Dzień kończył się dla nas zwykle o godz. 18-ej lub 20-ej apelem na placu, gdyśmy byli u kresu sił, wyczerpani i głodni. W obozie było kilkadziesiąt komand. Do tych, które pracowały pod dachem byli spośród nas wyznaczeni tylko nieliczni. Dla polskich księży były komanda na powietrzu, na słońcu, deszczu, mrozie i takie, w których nie było tzw. Brotzeit, w czasie którego otrzymywano kawałek chleba z pasztem lub kiełbasą, raz w tygodniu dawano natomiast kawałek margaryny. Było to niewiele, ale zawsze coś, co bardzo wspierało głodny organizm.

Kiedy dogrzewało słońce i wiał silny wiatr, wracaliśmy z „plantaży” (praca na plantacjach), jak murzyni, gdyż czarny pył wciskał się w skórę. Na plantacjach pracowaliśmy bez „brotzeitu”. Uprawialiśmy miętę i różne jarzyny, konieczne

do przemiału w młynie specjalnie wybudowanym do zup. Na plantacjach pracowało kilkuset polskich księży. Hodowano także zioła lecznicze, z których pochodziły różne gatunki herbaty i przypraw. Były tu także szklarnie oraz inspekty, a także kilka drzew owocowych. Podobnym do komando na plantacjach było komando „Liebhof”, w którym była taka sama ciężka praca. Liczyło kilkudziesięciu więźniów, a do pracy trzeba było daleko wędrować. Pozornie zdawałoby się, że praca na powietrzu na dużej przestrzeni pozwalała zapomnieć o potwornych warunkach panujących w obozie, ale nie było to jednak prawdą. Słońce, deszcz i mróz robiły swoje. Należało stale ruszać się. Nie wolno było stać beczynnie ani usiąść. Czuwali nad tym kapo. Czasem przychodzili na spacer esesmani, aby bić i kopać więźniów, kiedy któryś nie spodobał się. Schronić się nie było gdzie. W środku plantacji stała nieduża, zadaszona latryna. Troskę nad nią miał jeden z naszych kolegów, który miał czuwać, aby tam nie przebywano zbyt długo. Pewnego razu zgromadziło się tam wielu księży francuskich. Nagle ktoś krzyknął – esesman idzie. Wszyscy zaczęli szybko uciekać. Dwóch wpadło do dołu, jak wyglądali trudno opowiedzieć. Odór czuć było z daleka. Esesman poszedł w inną stronę, obyło się bez bicia. Trzeba było się umyć. Szukaliśmy wody i pomagaliśmy tym biedakom. Były też i chwile odprężenia, kiedy ludzie opowiadali sobie różne przeżycia i zdarzenia. Takich wesołych dykteryjek można było wiele usłyszeć. Ludzie starali się jakoś przeżyć ten koszmar.

Przy końcu listopada 1941 r. wyznaczono kilkudziesięciu księży do pracy przy wozach transportowych zamiast koni. Siedemnastu ludzi miało ciągnąć i wozic ziemniaki z wagonów, brykiety, śmieci i różne inne rzeczy i to komando nazywało się Aufräumung. Mnie wyznaczono do komanda Aufräumung 2. Kapo był z południowych Niemiec, nazywał się Katzenschwanz. Zawsze chodził ze spuszczoną głową, nigdy nie uśmiechnął się, czasem wyzywał, ale jakoś można było wytrzymać. Zawsze towarzyszył nam esesman z psem. Wyjeżdżaliśmy poza teren obozu. Liczyliśmy, że będzie można zorganizować coś do zjedzenia. Zaczęły przychodzić wagony z ziemniakami i należało je rozwozić. Woziliśmy do kopców za murami obozu. Kombinowaliśmy jak zdobyć dla siebie chociażby trochę ziemniaków. Postanowiliśmy bez wiedzy kapo zrobić pod wozem skrzynię, do której będzie można w workach składać ziemniaki, bo na wozie to nie było możliwe. Udawało się. O godz. 12-ej woziliśmy obiad w kotłach dla pracujących w komando Prezifix. Było to komando pracujące w domkach jednorodzinnych, gdzie były zamontowane maszyny do produkcji części do samolotów. Naczynia zmywał starszy Czech. Z nim umówiliśmy się, że będziemy przywozić ziemniaki, on je ugotuje i połowę zatrzyma dla siebie dla królików, które tu hodował, a resztę my zabierzemy. Kilka razy ta transakcja udała się. Raz byłoby to dla mnie zakończyło się tragicznie. Nabieram do kieszeni ugotowane

ziemniaki, a kapo krzyczy: raus, nichts laufen, nichts fressen, a esesman do mnie i szczuje psem. Kapo opamiętał się, trochę bowiem mnie lubił i powiedział, aby esesman zostawił mnie w spokoju, bo upominam się za ludźmi. I na tym skończyło się. Luftschtzkeller także było komando dla polskich księży, a było ich trzynastu. Uciążliwość polegała na tym, że pakowano brykiety i wysyłano do „Barlocher” w Monachium, służyły bowiem do rozpalania ognia. Był to torf, nasycony zużytą oliwą, naftą, parafiną i innymi substancjami łatwopalnymi. Niewiele trzeba było, aby rozniecić szybko ogień pod węglem. Komando pracowało w piwnicy. Jedni wysypywali materiał na stoły, inni wkładali do papierowych torebek, jeszcze inni zamykali torebki i je odnosili, a ostatni pakowali do kartonów. Praca zasadniczo nieciężka, ale cały dzień w ruchu ale ten zapach był nie do wytrzymania. Po wyjściu na powietrze czuło się wydobywający się odór z organizmu, a nadto praca odbywała się przez cały dzień przy świetle elektrycznym, co bardzo niszczyło wzrok. Było jeszcze wiele komand pod dachem, gdzie pracowali przychodzący cywile Niemcy. Byli bardzo ostrożni, ale czasem można było mieć z nimi jakieś kontakty. W takich komandach pracowali także nieliczni polscy księża.

### Inwalidzi

Starsi księża zostali zaliczeni do inwalidów. Byli skomasowani w czwartej izbie. Do pracy nie chodzili. Tylko na apel musieli się stawiać. Esesmani odwiedzali ich na izbie. Ciągłe żyli pod strachem. Wiedzieli, jak esesman potrafił bić, nie zważając na wiek czy niedołęstwo. Pewnego razu prosi mnie ksiądz inwalida z naszej diecezji, Michał Wróblewski<sup>27</sup>, który był u kresu sił fizycznych i psychicznych, abym mu wyczyścił menażkę, na której widniały zaschnięte czarne plamy po kawie. Bał się, aby tego nie zauważył esesman. Obiecał dać chleb za przysługę. Uspokoilem go. Menażkę umyłem, a chleb mówię zjedz, bo masz tyle co i ja. Pouczyłem, jak ma troszczyć się o naczynia i obiecałem przychodzić w wolnej chwili do niego do pomocy. Ja już chodziłem do komanda do wozu. Ucałowaliśmy się serdecznie.

Jak można było dostać się do inwalidów? Było to wiosną 1942 r. Słońce dość świeciło. Wszystkich księży będących na blokach wyprowadzono na plac apelowy, gdzie były rozstawione stoły i krzesła, a na nich siedzący esesmani. W szeregu należało przechodzić przed nimi, podciągać spodnie, a oni patrząc na nogi rozsyłali jednych na prawo, a drugich na lewo. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Ja też tam byłem. Potem zrozumieliśmy, że wybierali inwalidów. Inni księża,

<sup>27</sup> Ks. Michał Wróblewski, ur. 30 III 1889 r. w Sieniawie. Kształcił się w seminarium we Włocławku. W 1914 r. został wyświęcony na kapłana. Był proboszczem w Wójcinie od 1937 r., zamordowany 11 VI 1942 r.

jeszcze dość dobrze trzymający się, musieli nosić kotły z jedzeniem z kuchni dla całego obozu. Jeden miał spis, ile kotłów należało postawić przed blokiem. Kocioł niosło dwóch, ważył około 90 kg. Nosicielem kotłów był też ksiądz biskup Michał Kozal<sup>28</sup>. Opowiadał jeden z kolegów, że raz ksiądz biskup poślizgnął się na schodach kuchni i byłoby wylało się jedzenie. Bliżej stojący chwycił kocioł i uratował jedzenie. Nadbiegł esesman i pobił księdza. W międzyczasie ksiądz biskup z pomocnikami chwycili za uchwyty i nieśli na blok. Niepracujący i inwalidzi mieli jeszcze jedno uciążliwe zajęcie. Siedzieć beczynnie nie było im wolno. Wyprowadzano ich na plac apelowy, gdzie bez przerwy musieli maszerować, a esesmani uczyli ich śpiewać. Zimą, kiedy na placu leżał, czy też padał śnieg, musieli go zbierać i wywozić taczkami za bramę obozu i zsypywać do kanału. W bramie esesmani bili ich kijami. Niektórzy musieli wynosić śnieg w połach płaszcza. Była to okropna praca, ale wyjścia nie było. Trzeba było Boga prosić o siły i o to, aby się nie przeziębnić, bo kończyło się to odejściem przez komin.

### Znęcanie się i szykany

Pamiętam 11 listopada 1942 r. Zmęczeni i głodni stoimy dłuższy czas na wieczornym apelu. Po odebraniu raportu przez komendanta, raport składali „Rapportführerzy” z kartek otrzymanych od blokowych, słyszymy rozkaz – wszystkie bloki odmaszerować, pozostają bloki 28 i 30.

Czuliśmy przykrą niespodziankę. Wyczerpani do ostateczności nie spodziewamy się nic dobrego, było to jednak obojętne. Trudno było reagować przy takim wyczerpaniu, w jakim się znajdowaliśmy. Za chwilę przed nami staje Rapportführer i wygłasza podniesionym głosem przemówienie. Rozpoczął „Ihr verrecte polnischen Pfaffen – wy przeklęte klechy polskie zachciało się wam wolnej Polski, ja wam to wybiję z głowy. W tył zwrot i ćwiczenia”. Bloki po kilkaset osób. Ustawieni po dziesięciu w szeregach, między nimi starsi, ledwie na nogach trzymający się, wyczerpani i głodni, mają wykonywać wyszukane ćwiczenia na komendę esesmana. Można sobie wyobrazić – padnij, powstań, żabka itd. Trepy z nóg spadały. Wielu upadło i podnieść się nie mogło. Te piekielne ćwiczenia trwały ponad godzinę. Na placu leżało kilku kolegów nie ruszających się. Zabrali ich na rewir, a stamtąd do krematorium. U kresu sił wracaliśmy na blok, a tu potwór w ludzkim ciele, na nowo wyzywa ordynarnie blokowy

---

<sup>28</sup> Biskup Michał Kozal, ur. we wsi Nowy Folwark k. Krotoszyna. Studiował w seminarium w Poznaniu i Gnieźnie. Święcenia kapłańskie przyjął 23 II 1923 r. w katedrze gnieźnieńskiej. W 1929 r. został rektorem Seminarium Duchownego w Gnieźnie. Biskupem pomocniczym we Włocławku mianowany 12 VI 1939 r. Aresztowany 7 XI 1939 r., 25 VI 1941 r. wywieziony do Dachau, zamordowany 26 I 1943 r.

Becher, sadysta. Znowu ćwiczenia na drodze między blokami. Już nie mogłem wytrzymać. Roześmiałem się na cały głos. Podskoczył do mnie i mnie kopnął. Przeskoczyłem przez dwóch kolegów i dalej skakałem żabką. Uspokoił się i na tym się skończyło. Interwencja Boża i opieka Matki Najświętszej były dla nas jedyną nadzieją. Dziękowałem za okazaną mi pomoc Bożą. Koledzy śmiali się i gratulowali mi za wystąpienie i to, że wszystko zakończyło się szczęśliwie. Raz byliśmy wysłani do rozładowania wagonu koniczyny. Weszło do wagonu dwóch kolegów, ale praca jakoś im nie szła. Parę metrów od nas stał na wieży esesman. Zwróciłem się do kolegów, aby zeszli, a ja wszedłem i z uśmiechem zacząłem zrzucać całe płyty koniczyny. Sam wprawdzie nie miałem pola i nie prowadziłem gospodarstwa, ale orientowałem się, że koniczynę należało zrzucać tak jak siano, a koledzy stali i patrzyli się. Esesman zszedł z posterunku, podszedł do wozu i kazał mi zejść i pyta „warum lachst du?” (dlaczego się śmiejesz?), a ja odpowiadam, że mi się lepiej pracuje, kiedy z uśmiechem wykonuję zajęcia. Uderzył mnie w twarz i kazał wejść i dalej pracować. Przeżyłem to bardzo, nikt dotychczas tak mnie nie sponiewierał. Czułem bardzo wielkie podniecenie, ale co było robić. Każdy gest groził śmiercią. Musiałem wejść i dalej pracować, tylko już się nie śmiałem. Kiedyś znowu wezwano nas do wożenia węgla. Z nami szedł starszy esesman, bardzo niedobry człowiek, widać to było z jego twarzy. Znowu ze śmiechem z wagonu zrzucałem ciężkie łopaty z węglem na nasz wóz, a esesman chwycił kawał węgla i rzucił we mnie, ale w porę się uchyliłem. Uderzył jednak mnie w bok. Przez wiele lat odczuwałem ból, nawet po powrocie z obozu. Prześwietlenie wykazało złamanie żeber. Innym razem w niedzielę mieliśmy rozładowywać kopce z gnijącą brukwią. Podszedł do mnie esesman, nadzorujący nad nami i powiedział, że na boku położył kawałek chleba i polecił mi, abym poszedł i wziął go dla siebie. Bał się, żeby go ktoś nie zobaczył. Stał chwilę przy mnie i opowiadał, iż poznał dziewczynę w Bydgoszczy i jej poszukuje, ale bez skutku.

Można by mnożyć te przykre niespodzianki w nieskończoność. Przez cały dzień, a czasami i w nocy pojawiały się jakieś przykre niespodzianki, mające na celu wykończyć więźnia. W założeniu zbrodniarzy hitlerowskich było bowiem, aby szybko i jak najwięcej wykończyć ludzi. Pokój, dobroć i szacunek dla drugiego człowieka to były pojęcia obce dla tych ludzi.

Oto zdarzenie którego nie mogę zapomnieć. Było to późną jesienią 1942 r. Wieczorem już po apelu wezwano nasze komando. Szybko przyciągnęliśmy „rollwagę” pod główną bramę. Skierowano nas do wagonów, stojących na bocznicy, gdzie przywieziono więźniów z obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Mieliśmy przewieźć ich do łaźni w obozie. Kiedy otworzono drzwi zobaczyliśmy obraz przekraczający wszelkie wyobrażenie. Ledwie poruszające się szkielety ludzkie

i trupy, a obok nich objedzone zwłoki. Miękkie kawałki ciała wykrawano i pieczono na ogniu, roznieconym na podłodze wagonu. Bardziej głodni podobno jedli na surowo. Jeden z tych szkieleatów, jeszcze się ruszający, kiedy pomagałem mu przenieść się na „rollwagę”, powiada – „ja ciebie znam, znam dobrze twojego ojca, ja jestem z Radomska, daj mi coś zjeść”. Zgadzało się. Niestety nie mogłem spełnić jego prośby, gdyż sam także byłem głodny. Przewieźliśmy ich do łaźni, do kąpieli. Już tego więźnia nie spotkałem i nie wiem czy przeżył. Mimo, że byliśmy już przyzwyczajeni do hitlerowskiego bandytyzmu, nie mogliśmy pojąć, iż naród niemiecki, mieniący się kulturalnym, może dopuszczać się takich zbrodni. Zachować spokój było bardzo trudno. Pytaliśmy, jak to mogło się stać. Opowiadali, że na drogę otrzymali chleb i kawę, ale przejazd przedłużył się. W drodze wagony były zamknięte i nie troszczono się o nich, a głód dokuczał coraz bardziej, więzień wówczas brał kawałek żelaza i wycinał kawałek ciała zmarłemu. Podobnie czynili inni, piekli je na ogniu bądź jedli surowe kawałki ciała ludzkiego.

Głód – kto tego nie przeżył, nie jest w stanie wyobrazić go sobie. Cały organizm, wszystkie jego części wołają o pokarm. Ból z powodu głodu mówi, że zbliża się koniec, a człowiek nawet wtedy także pragnie żyć. Dlatego też ten cały ogrom cierpień chce zaspokoić tym, co ma pod ręką i co da się włożyć do ust i przez przetyk do żołądka. I dlatego zjada niszczące i gnijące pokarmy. Mówię tak wiele o głodzie w obozie koncentracyjnym, bo to był jeden z okrutnych sposobów wykańczania człowieka. Do dziś odczuwam, te chwile walki organizmu o życie, chociaż muszę powiedzieć, że zgniłych i zepsutych pokarmów nie jadłem.

W pierwszej izbie na bloku, jak to już wspomniałem, stał piec murowany, obłożony brązowymi kafelkami. Zimą palono w nim brykietami. Było w nim miejsce na podgrzewanie jedzenia, o ile ktoś je posiadał. Widziałem jak jeden z kolegów, a było to wówczas, kiedy zaczęły przychodzić paczki, otrzymał słoninę. Pokroił ją i usmażył, miał ponad pół miski tłuszczu, cieszył się i pił. Zwracałem uwagę, żeby tego nie robił, bo zachoruje, z pewnością na zdrowie mu to nie poszło. No, ale głód i jego zaspokojenie były silniejsze.

## Higiena

Raz w tygodniu była kąpiel w łaźni pod prysznicem, czasem trzeba było czekać aż wyjdą poprzednicy, ale dobrze było, kiedy na zewnątrz nie padał deszcz. Otrzymywaliśmy raz na tydzień niebieską koszulę i takie same kalessony obozowe. Otrzymywaliśmy także kawałek mydła zielonego, którego należało oszczędnie używać. Mówiono, że wyrabiano je z ludzkiego tłuszczu. Fryzjer przychodził raz na tydzień i strzygł na zero oraz golił. Do nas przychodził więzień Czech.



W niedzielę w godzinach popołudniowych przeprowadzaliśmy „Lauskontrolle”, bo te stworzenia dokuczały nam bardzo. Trepki należało codziennie myć, a skórzane, bo i takie przy końcu otrzymaliśmy, powykrzywiane wojskowe, należało utrzymać w czystości. O tym, że troska o porządek i czystość wokół siebie były bardzo potrzebne, każdy wiedział, ale wyczerpanie, ciągły głód i lęk, aby nie podpaść, obnażały słabości charakteru człowieka i tu powstawały konflikty krzywdzące wszystkich. Były czasem jednostki, odnoszące się nieżyczliwie do wiary i Kościoła, rozpowszechniające wiele kalumnii pod naszym adresem, ale to były jednostki. Pomagaliśmy sobie i żyli w przyjaźni z kolegami duchownymi z Austrii, Niemiec i innych narodowości. Będę miał jeszcze możliwość mówienia na ten temat.

### Ubrania

Pasiaki obozowe otrzymywali więźniowie pracujący poza obozem, większość otrzymywała stare, zniszczone ubrania po zamordowanych, dlatego na marynarce na plecach malowano czerwoną farbą X. Na spodniach z boku był pas czerwonej farby. Czapki także mieliśmy cywilne z pomalowanym czerwonym pasem. Ale jakież było wyjście. Było dobrze, kiedy ubranie nie było przepalone, bo inaczej czuć było z daleka. Skarpety i rękawice były szyte w komandzie „Strumpfwirkerei”, gdzie pracowali inwalidzi, bo była to lekka praca. Szyte były ze szmat, resztek pasiaków i innych materiałów. Buty, trepy, o ile podeszwa była z drewna lipowego, były możliwe do chodzenia, lekkie i nie nasiąkały wodą. Trepki z innego drewna trudno było udźwigać. Wierzchy butów były ze szmat. Przy końcu była taka możliwość, że można było zdobyć buty skórzane wojskowe, zniszczone. Przez szpary jednak woda dostawała się do wewnątrz, nogi były zawsze w wodzie. Zęby myliśmy szczoteczką, o ile ktoś ją posiadał. Kiedy zaś nie posiadał korzystał z palców ręki, ale myć zęby należało, aby odświeżyć usta. Nogi należało myć codziennie, bowiem brudu nie brakowało nigdy. Cały dzień trwała wędrówka. Nawet zimą mycie nóg było potrzebne, aby pozbyć się nieprzyjemnych zapachów. Był taki kolega, który zajmował się naprawą trepów. Trzeba było go poprosić, aby naprawił zepsute. A on na to, jak się da, to się robi, mówił ze śmiechem. Trzeba jednak było mu dać 2 papierosy lub kawałek chleba. Takie transakcje uprawiało się szczególnie wówczas, kiedy dyscyplina zelżała i esesmani nie nawiedzali nas za często. Troska o siebie i porządek wokół siebie to była sprawa oczywista dla każdego, ale w naszych warunkach bardzo uciążliwa i męcząca. Szczególnie odczuwali to bardzo starsi więźniowie. Każdy z nas coraz bardziej opadał z sił, a głód był przyczyną beznadziejnego stanu. Z każdym dniem zbliżała się śmierć. Każdy jednak pragnął żyć i wrócić do Ojczyzny i swoich najbliższych. W tej rozterce czasem człowiek zapominał o swojej

godności. Zdarzały się przypadki, rzadko wprawdzie, podkradania chleba. Dla zabezpieczenia wieczorem przed pójściem do łóżka, do szafki na górze wkładano się łyżkę, która spadała w wypadku otwierania czyniąc hałas. Wszyscy wówczas budzili się. Schwytany na gorącym uczynku (kradzieży) był prowadzony do umywalni, musiał położyć się na posadzce był polewany zimną wodą aż do utraty przytomności. Czasem końcem była nawet śmierć. Przytaczam ten przypadek ze słyszenia. Na naszym bloku taki wypadek nie miał miejsca. Ale był to dowód, co może zrobić człowiek, kiedy jest głodny.

### Wyżywienie

Przed wyjściem do pracy otrzymywaliśmy pół litra gorącej kawy. Był to czarny płyn. Czasem zostawała w kotle i można było jej sobie dobrać. Nikt jednak nie odczuwał pragnienia. Kocioł wynoszono i kawę wylewano. W południe otrzymywaliśmy  $\frac{3}{4}$  litra zupy z kapusty, marchwi lub brukwi cuchnącej zgnilizną oraz dwa lub trzy ziemniaki w skórkach. Skórkę cieniutką, bez odrobiny skrobi, wrzucało się do pojemnika i wynoszono przed blok, a stąd zabierano i wywożono na śmietnik przy kuchni, gdzie było specjalne ogrodzenie. Wielu nieopanowanych więźniów z pojemników przy bloku brało garściami różne odpadki i pchało do ust. Efektem zwykle była biegunka. U takich zjadaczy obierek i ratujących się węglem można było zauważyć czarne plamy na wargach, a czerwone na policzkach. Przy pobieraniu zupy do męażki lepiej było stawać przy końcu kolejki, bowiem była wówczas gęstsza zupa, podczas gdy na początku było w niej dużo wody. Zupę rozdzielał sztabowy. Kiedy w kotle jeszcze pozostała zupa, można było poprosić o dolewkę. Wieczorem każdy otrzymywał ćwierć kilograma chleba, a do męażki kawy lub herbaty z ziółek. We wtorki, czwartki, soboty i niedziele do chleba dodawano cienki plasterek wędliny lub margaryny czy łyżkę marmolady. Szczęśliwiec cieszył się, kiedy mógł otrzymać wiadereczko po marmoladzie i je oczyścić z resztek. W poniedziałki, środy i piątki zamiast dodatków oraz kawy czasem dawano  $\frac{1}{2}$  litra zupki tzw. knurówki. Kiedy jeszcze nie chodziliśmy do pracy, mogliśmy przed południem obserwować „rollwagę”, a na niej górę bochenków chleba. Obok wozu siedł esesman i kapo oraz siedemnastu ciągnących więźniów, którym niejednen zazdrościł, jako że tam można było zdobyć kawałek chleba.

Przed każdym blokiem stał stół. A przy nim sztabowy, odbierający chleb. Kapo stał przy wozie i dawał polecenie, ile chlebów należało położyć, co miało napisane na kartce otrzymanej w kuchni. To była dla nas najwspanialsza potrawa i bardzo upragniona. Marzyliśmy, żeby chleba kiedyś najeść się do syta. A chleb był ciemny, wypiekany z mieszaniny, w której znajdowały się ziemniaki i mąka kasztanowa, natomiast mąki żytniej było bardzo mało. Bochenek ważył 1,2 kg

i był przeznaczony dla 4 więźniów. Dzielił bochenek sztabowy w naszej obecności lub kiedy jeszcze byliśmy w pracy. Należało uważać, aby okruszyna chleba nie odpadła, byłaby to wielka strata.

### Kantyna

Znajdowała się w obozie, ale w tym czasie niewiele miała do sprzedania. Podobno był taki czas, że można było w niej kupić chleb, nawet cały bochenek, ale to już się skończyło. Aby kupić w kantynie trzeba było mieć pieniądze na koncie, a za wyciągnięte pieniądze można było kupić nawet grubą kielbasę z jarzyn w grubej folii. To było śmieszne, ale można to było zjeść. Były też czasem ślimaki, normalnie przygotowane w dużych puszkach, ale nie właściwie oczyszczone. Chociaż zawsze miały trochę tłuszczu, tak bardzo nam potrzebnego. Pewnego razu przychodzi do mnie kolega i proponuje, abym dał mu swój chleb, bo on ma ślimaki i zapewniał, że jak opuścimy obóz, to on mi nie zapomni i poprze mnie, gdzie będzie trzeba. Uśmiechnąłem się serdecznie i poradziłem mu, aby ślimaki podgrzał, to będą smaczniejsze i będzie je mógł zjeść, chleba otrzymuję zaś tyle co i on, a w tej chwili mam pusto w szafce. Tragiczne, a nawet często śmieszne, sytuacje można by mnożyć. Dzisiaj one wywołują uśmiech, ale wówczas tak nie było. Mówi się: tonący brzytwy się chwyta, aby ratować życie.

Na początku 1943 r. zaczęły przychodzić paczki od rodzin i bliskich, ale głód jeszcze nie opuścił wszystkich. Na blok polskich księży przychodziło dosyć dużo paczek. Obóz został zamknięty, nikt nie mógł go opuszczać, a nawet nie chodziliśmy na apel. Był piękny dzień. Wyszedłem przed blok. Widzę stojącego kapo Hansa, kapo od wozu chlebowego. Podchodzę i pytam dlaczego tu stoi i czego szuka, może będę mu mógł pomóc. A on mówi, że jest głodny, może mam coś do zjedzenia. Kazałem mu poczekać i przyniosłem mu kawałek chleba, podziękował. Zatrzymałem go i pytam co ja mu dobrego uczyniłem, że przychodzi do mnie, on Niemiec i komunista do mnie polskiego księdza. Odpowiedział krótko: Popatrz ilu tu chodzi, a do nikogo bym się nie zwrócił tylko do ciebie, widziałem jak pracowałeś i jak was prześladują. Ucałowaliśmy się serdecznie, uśmiechnęli i rozeszli. Pragnę dodać, że Hans jako komunista walczył w Hiszpanii i tam go schwytano i przywieziono do Dachau. I oto przypadek. Wracam z pracy. Byliśmy w kuchni esesmańskiej, gdzie ziemniaki obierał Gustaw Morcinek, pisarz śląski. I on dał każdemu po kilka ziemniaków. Każdy schował do kieszeni płaszczka i podziękował serdecznie. Cieszyliśmy się ze spotkania ze słynnym pisarzem, chwilę nawet rozmawialiśmy. Na placu spotykam Hansa, który mówi, że ma dwa kotły jedzenia, jeden zupy, drugi ziemniaków i pyta czy je zabiorę. Wprawdzie był to czas, kiedy przychodziły już paczki od rodziny i znajomych, ale nie wszyscy je otrzymywali. Kazał przyjść na blok, w którym mieszkał i je

zabrać. Być może, że chciał się odwdziżyć za ten chleb, który mu dałem na bloku. Po spotkaniu i zapewnieniu przyjscia na jego blok poszedłem, aby stanąć na apelu. Obok mnie stał kolega z głową opuszczoną, jakiś ponury, nie znałem go, zresztą przy takiej liczbie trudno było znać wszystkich. Pytam: Co masz taką opuszczoną głowę i taki jesteś smutny. Odpowiedział bardzo niegrzecznie: Czy jesteś głodny? W kieszeni mam ziemniaki – weź i zjedz. Zjadł ze smakiem, humor mu się poprawił. Zjadłbyś jeszcze. A masz jeszcze – zapytał. Mam – odpowiedziałem. Zaproponowałem, aby po apelu wziął trzech kolegów, a ja ich zaprowadzę na blok, skąd weźmiemy dwa kotły jedzenia – zupy i ziemniaków. Zaprowadziłem ich po apelu do Hansa. Zabraliśmy pełne dwa kotły jedzenia obozowego i zanieśli na nasz blok 28. Kazałem, aby nabrali sobie, ile tylko będą mogli zjeść. Resztę rozdaliśmy kolegom zgromadzonym dość licznie. Spotkany ksiądz to ks. Józef Kopczewski, kapelan sióstr Bernardynek w Łowiczu<sup>29</sup>. Nawiązała się bardzo serdeczna przyjaźń. W dniu, w którym spotkaliśmy się przywieziono go z Oświęcimia. Niewiele brakowało, aby tam przeniósł się do wieczności. Był bardzo wyczerpany w pracy na polu. Przywieziono go do obozu w Dachau na wozie mało przytomnego. Wiele tragicznych przeżyć z Oświęcimia miał do opowiadania. Tak rozpoczęła się nasza znajomość i nie tylko przyjaźń. Spotkanie z Józkiem miało miejsce przy końcu 1942 r.

W 1943 r. zamknięto obóz na dwa miesiące. Apel odbywał się tylko jeden raz w ciągu dnia. Spanie było od godziny 20-ej do godz. 8-ej. Paczki nadchodziły licznie. Można było jakoś pomału dojść do siebie. Byliśmy zdumieni, dlaczego nastąpiła taka zmiana. Pomału dowiedzieliśmy się o niepowodzeniach niemieckich na froncie. Ten odpoczynek był konieczny, bo przy takim ucisku jak w 1941 i 1942 r. niewielu miało możliwość przeżycia. Była to widoczna szczególnie opieka Boża, odczuwali to nie tylko księża.

Po otwarciu obozu przyszedł do mnie znajomy kapo Pospieszil, Austriak. Przed aresztowaniem w 1936 r. był komisarzem policji w Wiedniu. Zaproponował, abym przeniósł się do jego komanda, także przy wozie, rozwozić resztki z kuchni esesmańskich do świnia. Znałem go z dobrej strony jako dobrego człowieka, a chciałem przenieść się od Katzenschwanca. Kazał dać spis kolegów, których można by zaangażować, a on załatwi w Schreibstube. Oczywiście sam załatwi wszystko. Zaczęła się więc praca przy innym wozie i w innych warunkach, Koledzy, którym zaproponowałem, chętnie zgodzili się. Wszystko układało się bardzo dobrze.

---

<sup>29</sup> Ks. Józef Kopczewski, ur. 31 V 1906 r. w miejscowości Boguty. Był prefektem szkolnym i kapelanem w domu sióstr zakonnych w Łowiczu. Aresztowany 7 III 1941 r. Był więziony w Łowiczu, Warszawie, Oświęcimiu, od 6 V 1942 r. w Dachau. Doczekał wyzwolenia.

Myślałem sobie nieraz, że Pan Bóg bardzo opiekuje się mną i chroni od wielu tragedii. Dzięki Ci Boże.

Po załatwieniu formalności po apelu stanęliśmy przy wozie i wyruszyliśmy w drogę.

Na wozie mieliśmy specjalny pojemnik na jedzenie dla nas. Kapo wiedział, co nam było potrzebne. Kiedy przyszliśmy do kuchni, skąd mieliśmy zabrać resztki pożywienia, ja z kolegą mieliśmy zabrać pojemnik i iść za kapo. W kuchni były ustawione szeregiem duże kotły. Kapo zaglądał do wnętrza. Kiedy dał umówiony znak, należało tam się zatrzymać aż on dojdzie do esesmana i zajmie go rozmową. W tym czasie my chochłą mieliśmy przelewać jedzenie do pojemnika. Pewnego razu zauważył to esesman i z krzykiem pędził do nas. Chwyciliśmy pojemnik i uciekaliśmy. Skończyło się szczęśliwie, bowiem nie gonił nas do końca. Wkrótce wyszedł kapo i mówi – Aleks, alles ist fertig, a ja mówię: Jawohl. Pojechaliśmy do świniań, tam usiedliśmy i spokojnie zjedliśmy, co udało się zorganizować. Innym razem byliśmy w kuchni, gdzie pracowały kobiety, Niemki. Wywoziliśmy obierki. Któryś z kolegów zauważył otwarte drzwi do piwnicy, a tam na półkach puszek ustawione jedna przy drugiej bardzo ściśle. Udało się kilka zabrać potajemnie. Oczywiście musiało powstać puste miejsce. Kiedy przyszliśmy następnym razem, Niemki poskarżyły się kapo, pokazując puste miejsce i brak kilku puszek. Było to bardzo nieprzyjemne. Prosiłem kapo, aby je przeprosił, a to już więcej się nie powtórzy. Kolegom powiedziałem kilka przykrych słów, a kapo dodał, że Niemki są bardzo życzliwe i nie należy im wyrażać przykrości. Na przyszłość jednak piwnica była zamknięta.

Pewnego razu komendant obozu Redwitz, widać było, że lubił kieliszek (czuć było z daleka od niego alkohol) woła naszego kapo. Myśmy stali niedaleko, można było słyszeć, o co mu chodziło. Kazał dostarczyć materiały, potrzebne przy remoncie mieszkania, jaki przeprowadzał u siebie. Kapo prosił o polecenie na piśmie do magazynu, aby tam mógł otrzymać materiały. Wkrótce kapo usłyszał słowa komendanta, patrzącego na jego buty, koszulę i ubranie i pytającego go: Skąd to masz? A były to rzeczy włoskie, przywiezione po kapitulacji Włoch. Czy na te przedmioty miałaś pozwolenie na piśmie? Pociągnęliśmy więc wóz do magazynu. Załadowaliśmy bardzo dużo rzeczy potrzebnych do remontu. Kapo porozmawiał z kierownikiem i wszystko zawieźliśmy na wskazane miejsce. Tak to załatwiano się różne sprawy. Na tle powszechnego ucisku i męki podałem kilka zdarzeń z obozowego życia, które nas nieco odrywały od codziennej rzeczywistości i niosły nieco ulgi. W innych komandach też były momenty, pomagające przetrwać gehennę obozową. Ale wiele z nich mogło się zakończyć tragicznie.

Pytam pewnego razu Pospieszila, dlaczego stale spluwał w ręce idąc, a nawet stojąc. Uśmiechnął się i powiedział, że po aresztowaniu go, kiedy naziści

przywieźli go tutaj, budowali obóz w Dachau. Budowali najpierw drogi. Przy każdym prawie więźniu stał esesman. Pracować trzeba było bez wytchnienia. Byliśmy potwornie zmęczeni. Trzeba było się ratować każdym sposobem. Kiedy esesman odwrócił się, wbijało się łopatę w ziemię i następowała chwila odpoczynku, kiedy esesman spojrzał, czy się pracuje, wówczas s pluwało się w rękę. I to mu pozostało i ciągle s pluwał, a nawet w nocy budził się, aby s pluwać.

Wspomniałem, że Redwitz lubił alkohol. Raz ogłoszono u nas na bloku, że można zgłosić się do komando, które rozładuje wagony z alkoholem, przywiezione z Włoch. Kilku kolegów zgłosiło się. Czuję jednak w tym jakieś niebezpieczeństwo. Podobno Niemcy nie proponowali tego świeckim więźniom, bo bali się różnych kłopotów. Wieczorem, kiedy ochotnicy mieli wracać, kilku z nas wyszło na plac apelowy, aby zobaczyć czy wracając będą się zataczać. Wreszcie ukazali się przy bramie. Stał tam Redwitz i każdego rewidował. Zabierał butelki, a na tych, którzy ich nie mieli, krzyczał, po co tam poszli. Uśmialiśmy się, a komando opowiadało, że przy rozładowaniu esesmani kazali zrzucić skrzynie na kant, aby się rozpadały i wtedy esesmani rabowali, ile tylko mogli ukryć. Z Włoch po kapitulacji przywożono do obozu obuwie, bieliznę i inne rzeczy, gromadzono je w magazynach na terenie obozu, gdzie pracowali więźniowie. Niewiele upłynęło czasu, a można było zauważyć, że więźniowie nosili włoskie części garderoby. Jak to zrobili, to było ich tajemnicą, ale to było faktem. Byli i tacy, którzy handlowali z cywilami pracującymi z nimi w komandzie za chleb i inne jedzenie. Pragnę przypomnieć, że to działo się w czasie złagodzenia dyscypliny w obozie.

W 1944 r. wiosną Pospieszil został zwolniony i powołany do wojska. Po wielu latach mordęgi wyszedł na wolność. Przyszedł do mnie i opowiedział swoje przeżycia oraz zaproponował, abym dał mu adres do mojej rodziny, mieszkającej na terenach włączonych do Rzeszy, bowiem tam, być może, będzie przebywał. Bardzo ucieszyłem się. Uściskałem dobrego człowieka i dałem adres do ciotki mieszkającej w Łodzi. Ustaliliśmy, że opuszczę dotychczasowe komando, a on poleci mnie swojemu koledze, też Austriakowi, oberkapo na plantażach, Gabrielowi Waldhauserowi, który w razie potrzeby pomoże mi w ramach swoich możliwości. Na bloku powiedziałem pisarzowi Janeckiemu, że zmieniam komando. Obiecał postarać się o dobre komando. Rzeczywiście zostałem przydzielony do komanda, pracującego przed rzeźnią, gdzie codziennie dawano więźniom kawałek kiełbasy. W komandzie było nas kilku i mieliśmy utrzymywać porządek przed rzeźnią i naprawiać dziury w chodnikach. Cały dzień trzeba było się ruszać i coś robić. Bez przerwy przechodzili wysocy rangą esesmani. Było ciepło. Słońce dogrzewało. Pracowaliśmy przy budowie zniszczonych dróg. Otrzymywaliśmy nawet ciepłą kiełbasę, ale trzeba było ciężko pracować, stale na oczach przecho-



dzących. Po przyjsciu na blok powiedziałem Janeckiemu, że za dobre komando mu dziękuję, ale jutro tam nie pójdę. Bardzo się rozgniewał. Poszedłem do Waldhausera i prosiłem, aby mnie wziął do swojego komanda. W Schreibstubie załatwił wszystko. Rano stanąłem w komandzie na plantażach, a pisarz biegł po placu, szukając mnie. Wreszcie poszedł do biura i dowiedział się o przydzieleniu mnie na plantażę. Uspokoił się.

Na pożegnanie Pospieszil jeszcze raz przyszedł do mnie. Pożegnaliśmy się serdecznie ze łzami oczach. Życzyłem mu szybkiego powrotu do swoich najbliższych po zakończeniu wojny i prosiłem jeszcze raz o odwiedzenie ciotki w Łodzi. Wspaniały to był człowiek, znany w obozie jako dobry i szlachetny. Nie spotkałem nikogo, kto by skarżył się na niego. Moje spotkanie z nim było przypadkowe, a jednak miał tyle życzliwości i serca dla mnie. Różnymi drogami Pan Bóg prowadzi człowieka, a od nas zależy, czy potrafimy wykorzystać opiekę Bożą, nawet w tragicznych momentach życia. Pobyt w obozie i codzienne przeżycia nakazywały, aby te prawdy sobie należycie uświadomić. Po wojnie byłem w Wiedniu i szukałem Pospieszila. Niestety powiedziano mi, że umarł, a mieliśmy tyle sobie do opowiadania. Często zastanawiałem się, czego koniecznie potrzeba, aby ludzie różnych narodowości, kultury, pochodzący z różnych stron i mówiący różnymi językami, mogli sobie nawzajem czynić dobrze. Kiedy to czyniono z wiarą w Boga, wówczas Pan Bóg błogosławił i pomagał.

Na plantażach pracowałem przy budowie kompostów z młodym chłopcem z Bydgoszczy. Pracowało nam się dobrze. Z pola znoszono chwasty, a myśmy je układali i przesypywali wapnem. Kilka kroków od nas na wieży czuwał esesman. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jego zadaniem było pilnować, aby ktoś nie uciekł i abyśmy pracowali bez przerwy. Różni byli ci esesmani. Byli tacy, którzy nie interesowali się, czy pracujemy czy siedzimy, a nawet czasem prosili o papierosy. Przy kompostach postawiliśmy osłonę z maty słomianej, gdzie mogliśmy niezauważeni usiąść.

Minęło może trzy miesiące od pożegnania się z Pospieszilem. Nagle słyszę, jak ktoś mnie woła. Byłem zajęty. Zdenerwowałem się, co to może być. Patrzę i widzę żołnierza, strach mnie przejął. Idę bliżej i widzę, że to Pospieszil. Przyjechał, aby mi powiedzieć, że był u ciotki. Opowiedział jej o życiu w obozie i pocieszał, że to już nie potrwa długo. Bardzo serdecznie podziękowałem mu za tyle serca i dobroci. On nadal zapewniał o bliskim końcu wojny, bowiem front niemiecki załamywał się na każdym odcinku. Przeżyłem bardzo głęboko te odwiedziny. Nie wiem, czy ktoś z więźniów, szczególnie nas księży, miał podobny przypadek. Jeszcze raz muszę to stwierdzić, że wspaniały to był człowiek ten Sep Pospieszil.

Tymczasem komposty, które były moim warsztatem pracy, były zlokalizowane blisko stawu, w którym hodowano ryby. Raz coś mnie podkuśiło, aby się wykąpać, a przed zejściem z dniówki wszędzie było pusto. Rozebrałem się i wszedłem do wody. Wymyłem się, odświeżyłem, włożyłem przygotowaną bieliznę. Poczuliem się bardzo dobrze, powtórzyłem to jeszcze kilka razy. Ale takie „wybryki” były możliwe dlatego, że zelżała dyscyplina w obozie, a na froncie wojska niemieckie cofały się. Któregoś dnia wracam z pracy zadowolony, a tymczasem patrzę na Józka, a on jakiś smutny i pytam co się stało. Odpowiada, że w komandzie pobił go kapo i stale mu dokucza. Pracował w Bekleidungskomando. Praca była wyczerpująca, stale musieli wspinać się po drabinach i sortować nici do transportu, a kapo był wyjątkowym łobuzem. W tym dniu Józek otrzymał paczkę od rodziny, a w niej kawał wędzonego boczku. Pokazuje mi i mówi, że da temu cholercze, może przestanie się nad nim znęcać. Ja byłem przeciwny temu i ostrzegłem, że to i tak nie pomoże. Należało szukać innego wyjścia, aby wydostać się spod jego opieki. Ale Józek jak powiedział, tak zrobił. Idąc do pracy wziął otrzymany boczek i zaniósł kapo. Komando mieściło się na zewnątrz głównej bramy. Po powrocie z pracy Józek miał posiniaczoną twarz, mimo że dał kapo boczek. Zwrócił się do mnie i prosił, aby go ratować, bo jak jutro pójdzie do pracy, to kapo go zabije. Chwila zastanowienia i idziemy. Można było pójść tylko do Gabriela. Ten, kiedy go zobaczył, bardzo mu współczuł, a gdy Józek mu powiedział, gdzie pracował, Gabriel powiedział, że znał tamtego kapo i stwierdził, że był to zbój. Poszliśmy na rewir. Tam miał przyjaciela Oberpflegera, któremu opowiedział całą historię i prosił o pomoc. Oberpfleger obejrzał Józka i stwierdził, że miał płaskostopie i konieczna mu jest wkładka do buta. Miał się zgłosić następnego dnia, aby pojechać do Monachium do zakładu, gdzie takie wkładki były wytwarzane. Wożono go ze trzy razy do Monachium. Była to niepojęta sprawa, gdyż życie więźnia nie miało żadnej wartości w oczach strażników niemieckich, a tu takie zabiegi i takie koszty. Rygory obozowe zelżały, a w skutek tego można było takie sprawy załatwiać. Należało teraz odwdzińczyć się, ale nie mieliśmy żadnej możliwości. Obu panom serdecznie podziękowaliśmy i zapewniliśmy, że może przyjdzie taki czas, iż w konkretny sposób się odwdzięczymy, bowiem w tym wypadku chodziło o życie Józka. Niestety po wyzwoleniu tak jak Pospieszila nie znalazłem Waldhausera, który także nie żył. Bogu dzięki, w obozie znaleźliśmy dobrych ludzi.

Teraz chodziło o komando dla Józka i znowu udaliśmy się do Waldhausera. Załatwił, że został przydzielony do komando na plantażach do kompostów. Pracowaliśmy razem do wyzwolenia. Przenieśliśmy warsztat pracy na środek pola. Na nowym miejscu kolega zbudował ławkę, siedziało się dobrze. Chwasty rosły, wysokie jak drzewa, komposty zasłaniały nas. Czasem przechodził Waldhauser

i ostrzegał przed esesmanem. Jakoś udawało się. Józek twierdził, że nie przyjechał tutaj do roboty, a dzień po dniu zbliżał nas do wolności.

Wspomnienia obozowe świadczą o bezwzględnej rzeczywistości, której celem było zniszczenie człowieka. Mają też ukazać szczególną opiekę Bożą, nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach. Mimo, że w obozie władze czyniły wszystko, aby zdeprawować człowieka i skłócić więźniów, aby wzajemnie się niszczyli, to jednak ten, kto w sercu zachował wiarę i odrobinę człowieczeństwa mógł czynić w tym piekle dużo dobrego dla drugiego człowieka. Często odchodziłem na ubocze, aby dziękować Bogu za zdrowie. Dziękowałem Bogu szczególnie za to, że pozwolił mi spotkać dobrych ludzi. Czasem, kiedy patrzyło się na znęcanie się nad więźniami, można było wyciągnąć wniosek, że kaci były to potwory w ludzkim ciele, które zatraciły poczucie ludzkiej godności. Z Józkiem pracowało się dobrze. Czasem gotowałem zupę w wiaderku po marmoladzie. Z paczek wykorzystywało się różne rzeczy. Trzeba było tylko zorganizować ziemniaki, aby powstała smaczna zupa. Mówiono, że jestem dobrym kucharzem. Czasem przyszedł Waldhauser. Też go poczęstowaliśmy, jadł ze smakiem.

Przytoczyłem wyżej nieprawdopodobne sytuacje obozowe, a ktoś patrząc z boku mógłby pomyśleć, że nie było nam tam aż tak źle. Reżim obozowy z czasem coraz bardziej sprzyjał prześladowanym. Można sobie było pozwolić na odrobinę swobody. Należało jednak mieć uszy i oczy szeroko otwarte. Jedną nieuwagą mogła wiele kosztować, włącznie z życiem. Odczuwaliśmy jednak, że Bóg był z nami.

W 1942 r. odnotowano 396 zgonów polskich księży, co daje obraz warunków, w jakich żyliśmy. Odprężenie budziło nadzieję, ale także siły do przetrwania. Jednak miejsce i warunki codziennego życia stale przypominały, że był to obóz. Wiara i modlitwa pozwalały nam ufać, że Bóg pozwoli nam przetrwać to piekło na ziemi.

*c.d.n.*